



Elżbieta Orlicka

Sygnatura notacji: **N1371**

Data urodzenia: **29.07.1943 r.**

Data nagrania: **12.06.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Gdynia, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **65 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Elżbieta Orlicka: Nazywam się Elżbieta Orlicka, mieszkam na ulicy Bądkowskiego w Rumi. Urodziłam się w Mławie, a więc w sąsiedztwie terenu, w którym pracował ojciec, działał. 29 lipca 1943 roku. Jestem córką Zacheusza Moszczyńskiego, który był członkiem Armii Krajowej z Janowca Kościelnego. Jeśli mogę już o tym oddziale nieco powiedzieć, komendantem był pan Stefan Rudziński, ojciec pełnił funkcję, mamusia twierdzi, zastępcy komendanta, ale ja nie znalazłam potwierdzenia tego. Wiem, że organizował oddziały, werbował członków, ludzi do organizacji, do pracy w tej organizacji. Urodził się... ja tak mówię, właściwie przyzwyczaiłam się do tej formy ojciec. To nie dlatego, że jest taki oficjalny dla mnie, ale bardziej mój szacunek w ten sposób wyrażam. Więc jeśli mogę tak go nazywać, ojciec urodził się w Szczepkowie Borowych. To jest osiedle, wioska niedaleko, bardzo blisko, właściwie w sąsiedztwie Janowca Kościelnego. Tam chodził do szkoły. Później, wiem z dokumentów, że przed wojną był powołany do wojska. Jest zdjęcie tutaj z tego oddziału, w którym był, skończył też szkołę podoficerską w kierunku łączności. Chyba to tak się nazywało. Poznali się rodzice... O, jeszcze skąd mamusia pochodzi. Mamusia się urodziła w Przywilczu. To też jest wioska. Byłam tam. Bardzo przyjemna, właściwie taka jedna szosa duża, po dwóch stronach zabudowania, ogrody, dalej te gospodarskie zabudowania. Bardzo wczesnie mamusia wyjechała z tej wioski, właściwie za namową chyba dziadka Zembrzowskiego wyjechała do szkoły w Toruniu. Tam skończyła szkołę pedagogiczną i od tego czasu, po skończeniu szkoły, organizowała przedszkola, „Ochronki” to się przed wojną nazywało. Pamiętam, jak wspominała, że te osobistości z tego rejonu przyjeżdżały i wizytowały te placówki. Bardzo to ciekawa opowieść. Była mamusia zaangażowana w pracę i dużo o tym mówiła w związku z tym. Jak się poznali rodzice? Siostra ojca starała się o pracę w przedszkolu i w ten sposób poznała mamusię, i pewnie postanowiła poznać z bratem. No nie pewnie, ale poznała właśnie. No i tak się zaczęła ta znajomość. Mamusia wyjechała do Gdyni. W tych mamusi wspomnieniach mowa jest

o tym, że dostała takie polecenie, żeby organizować przedszkola na terenie Gdyni. Ojciec pojechał za mamusią i tam pobrali się, w kościele w Chyloni. Gdzieś tam też jest w dokumentach świadectwo tego ślubu. Ojciec założył sklep, to się nazywało, wielobranżowy, tak ciekawie. Mamusia dalej pracowała jako kierowniczka przedszkola „Ochronki”, chyba jeszcze wówczas to tak się nazywało. No i wrzesień, urodził się brat, w 1938 roku, rodzice się pobrali w 1936. W 1938 roku urodził się brat, w 1939 roku siostra, w czerwcu. No i wojna. Właściwie rodzice już mieli dom. Myślę, że dobrze im się powodziło. Planowali jakiś następny dom kupić no i wybuchła wojna.

Dorota Grzechocińska: Mieszkali wtedy w Gdyni?

Elżbieta Orlicka: W Gdyni, w Gdyni cały czas. Właściwie chyba to było Demptowo, tak się nazywało to miejsce, obecnie też jest. Przyszedł wrzesień 1939 roku. Ojciec został powołany do wojska w lipcu. Dostał przydział do oddziału, który walczył... no jeszcze nie walczył, ale w Modlinie, i też z mamusi wspomnień, informacji brał udział w obronie Warszawy. Więc Modlin, Warszawa. Po kapitulacji we wrześniu pozwolili właściwie całemu temu oddziałowi wrócić do domu, i oficerowie, żołnierze i podoficerowie mogli wrócić do domu po kapitulacji właśnie. Tatusz, ojciec, wrócił oczywiście w mundurze wojskowym i w takim momencie, że mamusia dostała od Niemców polecenie wyprowadzenia się z tego domu. To się nazywało... uciekała mi ta nazwa, dużo ludzi, w ogóle Gdynia była w tym okresie zmuszona do opuszczenia domów, wypędzeni zostali po prostu. No więc dylemat, co robić. Wrócili do rodziny ojca. Mamusia jakiś czas mieszkała z rodzicami ojca, później przenieśli się do Janowca Kościelnego. To jest, tak jak mówiłam, miejscowość tuż przy Borowych, większa, piękny kościół, piękna szkoła, taka dobrze zorganizowana osada. I w 1940 roku... O, jeszcze wcześniej powiem, że otrzymali rodzice polecenie, ojciec właściwie, prowadzenia sklepu mięsno-masarskiego. Mamusia pomagała w tym. W 1940 roku został zaprzysiężony w obecności komendanta, pana Stefana Rudzińskiego. To był ZWZ jeszcze wówczas, nie Armia Krajowa. No i zaczął działalność. Najpierw... Znaczący znowu to są wspomnienia mamusi, to, co i opowiadała, i to, co napisała. Bo ja w pewnym momencie poprosiłam mamusię o zapisanie tych wspomnień, strasznych przecież w końcu. Ten teren Janowca Kościelnego i Borowych to byli ludzie... mieszkańcy terenów byli to ludzie, którzy... Ich życie właściwie było skoncentrowane na obronie. To było pogranicze. Po drugiej stronie rzeki Orzyc mieszkali Niemcy. Jeszcze może tutaj włączyć taką opowieść mamusi o księdzu Białym, który właśnie na tym pograniczu prowadził parafię. Mamusia z nim współpracowała, pomagała w organizowaniu pomocy społecznej dla okolicznej ludności. Ale to było na początku wojny, to, co teraz mówię. Ksiądz Biały wygłaszał bardzo piękne patriotyczne kazania. Jak myślę o księdzu Popiełuszcze, to tak mi się kojarzy często właśnie z księdzem Białym. I Niemcy z drugiej strony rzeki przychodzili do tego kościoła i słuchali księdza. Byli bardzo... Jedni słuchali, bo chcieli słyszeć prawdę i mądrość, a drudzy przychodzili, żeby słuchać i potem wykorzystać to przeciwko księdzu. No i tak zrobili wtedy, na samym początku wojny. To jest właśnie relacja mamusi, zaarrestowali księdza, bili go w niesamowity sposób, przywiązali do samochodu i wlekli tak przez długą drogę. No i zginął w ten sposób. A ojciec pracował właśnie w tym oddziale Armii Krajowej. Na czym polegała ich praca? Bardzo ważną działalnością było zbieranie broni. Ta, która została zakopana w czasie działań wojennych... To może jeszcze bym wróciła, bo to się działo w momencie, kiedy przygotowywali powstanie warszawskie. Tę broń wyczyścili, wykopywali, ale jeszcze przedtem, zanim właściwie zaczęła się ta myśl o powstaniu, bo dostali dopiero później tę wiadomość, organizowali pomoc dla ludności okolicznej, to znaczy pomoc materialną. Tam, gdzie ojcowie zostali wywiezieni do obozów, to tak jak mówiłam, ojciec prowadził sklep masarski, więc zaopatrywali te biedne rodziny w żywność, to właściwie okolicz-

ną ludność, znowu to są wspomnienia mamusi. A także pamiętam, mówiła mamusia o tym, że uciekinierzy z obozów jakichś koncentracyjnych, czy to było możliwe, czy z innych jakichś, wtedy, kiedy przewozili Niemcy może, z miejsca w miejsce, udało się komuś uciec, więc oni zostali objęci opieką też przez ten oddział. Była także... Rannych, chorych przewozili do Mławy do szpitala. Tam był również, w tej organizacji, doktor Witwicki i on udzielał pomocy, zresztą dzięki niemu przyszedłam na świat. Bardzo ciekawa forma walki to to, co mamusia opowiadała. A ojciec... (Niemcy chodzili w teren, po to żeby zabierać żywność gospodarzom okolicznym, konfiskować to, co było im potrzebne i nie było. A byli, jak wiemy, bardzo bezwzględni w tej swojej działalności i właściwie zabierali tym rolnikom wszystko, co tylko mogli. Uważali, że polski rolnik nie musi nic jeść, on ma wszystko oddać to, co wypracował, a więc drób, jajka, to co zasiał, to co zebrał. I taka inspekcja terenu odbywała się dwa razy w tygodniu. Ojciec wówczas spotykał tych żandarmów na drodze, zapraszał ich do siebie jeszcze na początku dnia, wtedy, kiedy właśnie wybierali się do przeprowadzenia tej inspekcji, zabierał ich do siebie, oczywiście częstował wędliną i alkoholem, tak że cały dzień to trwało. Mamusia stała gdzieś tam w odpowiednim miejscu, żeby powiedzieć, jeśli komendant się pokaże, żeby nie wpadli. W ten sposób ci Niemcy nie robili krzywdy okolicznym mieszkańcom. I rok przed powstaniem warszawskim... Nie rok, to było dużo wcześniej, bo przecież ojca zabrali w 1943 roku, a więc przynajmniej rok, pół roku przedtem otrzymali wiadomość, żeby zorganizować broń. Więc też mamusia opowiadała, że w mundurach niemieckich ci młodzi akowcy z walizkami przewozili broń, tę wykopaną z ziemi, do rodziców, do domu, i czyścili, składali, rozkładali, cokolwiek trzeba było zrobić z tą bronią. Przygotowywali do powstania. To była na pewno bardzo ważna praca, to nie ulega wątpliwości, ale też zajmująca dużo czasu i trwała dość długo. Ja to tak skrótowo mówię, ale to trwało, bo też mowa jest o tym w mamusi w wspomnieniach, że ojca bardzo często nie było w nocy w domu, że w lasach spotykali się i tam organizowali tę pomoc potem dla powstańców. To jest ten czas... I ten Zacheusz Moszczyński, zaprzyjaźniony z Niemcami. W pewnym momencie okazało się, że jest zdrajcą. Dwóch młodych akowców z oddziału ojca aresztowali Niemcy pod jakimś tam pozorem. I oni wydali. Powiedzieli, że Zacheusz Moszczyński tu prowadzi taką działalność. 13 lipca w nocy, o godzinie 1:00, właściwie ojciec się ukrywał. Już wiedział, bo to był okres... 1943 rok był rokiem terroru. To wszystkie źródła o tym mówią. I tam też. Było widać, że Niemcy bardzo uaktywnili się, bardzo dużo akcji przeprowadzali, które mówiły o tym, że coś się dzieje, coś chcą, wyłapać wszystkich tych, którzy działają przeciwko nim. Kilka nocy spędził u sąsiadów, gdzieś tam znalazł miejsce, a wówczas mamusia była w dziewiątym miesiącu ciąży, więc to na pewno było dla niego ogromnym obciążeniem. Więc powiedział: „Wracam i już, co się ma stać, to niech się stanie”. To są słowa mamusi. No i właśnie w tę noc... To był parterowy dom i najpierw, mamusia opowiadała, światła w oknach, dużo ich przyszło, esesmanów, to mamusia to bardzo wyraźnie określa. To nie byli żandarmi, tylko to byli esesmani, jakoś przygotowani do tego, żeby ojca aresztować. Były dzieci, brat pięcioletni, siostra czteroletnia. Ja jeszcze się nie pojawiłam na tym świecie. No i zaczęli od razu strasznie bić ojca. Bo to byli ci ludzie, którzy wiedzieli o tym, że mogą przyjść do Zacheusza Moszczyńskiego, że mogą się napić alkoholu, że mogą z nim zjeść kawałek dobrej kielbasy. I tu się okazuje, że on wykorzystał ich do tego, żeby walczyć przeciwko nim. To ich bolało bardzo. Więc bili go niesamowicie bardzo, już w domu. Któryś, w cudzysłowie, litościwy z nich powiedział: „Tutaj kobieta jest, to wyjdźmy”. Wyprowadzili go na zewnątrz, więc mamusia mówi, że słyszała tylko ten odgłos rzuconego człowieka. Był zmasakrowany. To są znowu mamusi relacje. Miał złamane szczęki, wybite zęby. Stamtąd zawieźli go do Mławy. Oczywiście przesłuchania, oczywiście tortury. A później do Ciechanowa, znowu do Mławy, znowu do Ciechanowa). To tak trwało do trzynastego... Ta trzynastka jest... Tu trzynasty, tu trzynasty. Trwało do 13 września. Próbowali go odbić z tego więzienia w Mławie, ale jakoś tak to było, że za późno albo

nie w tym momencie no i nie dali rady. I został przewieziony do... O właśnie, to jeszcze też bardzo taki moment istotny w tym, bo czterdziestu akowców, myślę, że to byli wszyscy członkowie Armii Krajowej, wszystkich ich załadowali do pociągu. Najpierw zaprowadzili do Wólki, czy na Wólkę, nie wiem, jak to prawidłowo powiedzieć, i tam był pociąg, wsadzili ich do tego pociągu i przewieźli do Pomiechówka. Ja się zastanawiałam, skąd w Pomiechówku w tym Forcie III te szyny, gdzie one prowadzą? A one jednak miały połączenie z Mławą, z Wólką, więc tą drogą ich przywieźli. I z tych moich odwiedzin Fortu III pamiętam... Teraz to jakoś się tak zamazał ten bruk, ale ten bruk, który prowadził do tego... no ucieła mi nazwa... bunkra numer jeden... Włożyli ich, wsadzili, wpędzili do tych wagonów na Wólce i tymi wagonami, no możemy sobie wyobrazić, jakie to były wagony, na pewno jakieś do przewożenia zwierząt, czterdziestu mężczyzn tym transportem przewiezionych zostało do Pomiechówka. I ten bruk właśnie, to, co mamusia... Może nie tyle... Mamusia o tym nie mówi, ale ja tak widzę tę czterdziestoosobową grupę tych ludzi okutych w kajdany, zmltretowanych, bo przecież ojciec był już po przesłuchaniach, po torturach, więc z połamaną szczęką, bez zębów, prowadzili ich do tego bunkra numer jeden, straszego. Pierwszy raz tam się znalazłam, to ci ludzie mówili, ci, którzy tam byli, to oni przemawiali. Ja wiem, że to jest w tej chwili jakaś mistyka z mojej strony, ale ten ból i to cierpienie tam się czuje. To już wiem z książek pana Frankowskiego, między innymi... przede wszystkim właściwie, on to wspaniale opisuje, warunki, jakie tam były. Ta kępka siana rzucona gdzieś tam na ten beton zimny. Myśmy byli w upał teraz, ostatnio. Jak tam się wychodziło, to było tak jak w zimie, bardzo zimno. I ogromna ilość ludzi. To nie było tak, że kilkoro ich tam było i mogli się zbliżyć do siebie, jakoś się ogrzać. Ogromna ilość ludzi na tej przestrzeni. To jest niewyobrażalne. Kiedy oni nie mogli przewrócić się na drugą stronę, kiedy już zdrętwieli od tego betonu. Po tych torturach, nie on jeden, przecież nie jeden mój ojciec był w okaleczony. I tam były przesłuchania, był brany na przesłuchania. One się odbywały w jednym miejscu. Pokazano mi to miejsce, chociaż jeszcze również ktoś powiedział, że to było... Ci, którzy wrócili, bo to nie tak, że ktoś powiedział. Ci, którzy tam byli, świadkowie. Że jeszcze w innym bunkrze też te przesłuchania się odbywały. No i trwało to do 29 października. Jeszcze może wspomnę też o tym, jak psy były wykorzystywane przez tych hitlerowców, tam Niemców, ja już inaczej nie będę mówiła. Kiedy szli... to znowu jest świadectwo człowieka, który przeszedł przez to, został przewieziony do Mauthausen i z tego Mauthausen wrócił. Chyba się nazywał pan Gutowski... Nie, nie, przepraszam, nie potrafię tego dokładnie... Jest w dokumentach. I te psy były puszczane na ludzi, którzy szli po odrobinę zupy, bo przecież nie dostawali jedzenia, zupy z brukwi, ze zgniłych ziemniaków. No i te psy. Więc mamusia spotkała tego człowieka po wojnie, to mówi, że wstrząśnięta była, bo to była skóra na kościach tylko i to były ślady po ranach, które psy wyszarpały. I tak to trwało do 29 października. I tutaj powiem o czymś w czasie tych przesłuchań. Jeśli mogę, przeczytam fragment świadectwa. Wystawiony przez pana Czaplickiego Bolesława, który był z ojcem może nie tyle razem przesłuchiwany, ile w tym samym okresie, i opowiadał o tym, jak to się odbywało. „Czaplicki, jak i Czerwiński przeżyli. Pierwszy zawdzięcza życie panu Zacheuszowi, drugi dziwnemu splotowi okoliczności. Czaplickiego strasznie na przesłuchaniu bili i chcieli, aby przyznał się do zakupu broni i przekazania jej panu Zacheuszowi. On najpierw się przyznał, ale później wszystko odwołał, mówiąc, że przyznałby się do wszystkiego, nie mogąc wytrzymać bólu. Gestapo powiedziało, że zrobią konfrontację z panem Zacheuszem, który rzekomo wszystko powiedział im. To była nieprawda. Tak właśnie zrobili. Pewnego dnia na przesłuchanie przywieziono na noszach strasznie pobitego pana Zacheusza, prawie niekontaktującego. Czaplicki bardzo się bał tej konfrontacji, wiedząc, że jeśli pani tata potwierdzi wersję gestapo, jego dni będą policzone. Najpierw wprowadzono Czaplickiego, a potem na noszach wniesiono pani tatę. Już Czaplicki miał się przyznać, kiedy zobaczył twarz pani taty, który, nie mogąc nic powiedzieć, był tak zmasakrowany, tylko

mimiką twarzy dał mu sygnał, aby nie przyznawał się do niczego. Ten sygnał sprawił, że Czaplicki szedł w zaparte i nie przyznał się do konspiracji i zakupu broni. Jak twierdził, dzięki temu żyje". 29 października. Jak już Niemcy uznali, że już nic więcej nie wyciągną, ojciec nikogo nie wydał, o niczym nie powiedział, wszystko wziął na siebie, wszystkie te działania przypisał tylko sobie, umieścili go w tym bunkrze, z którego wyprowadzano na szubienicę. To była taka szubienica przygotowana na czterdzieści... Nie. Czterdzieści... Przepraszam, dokładnie... Wydaje mi się, że czterdzieści osób w tym samym czasie wieszanych. Szczegółów nie będę opowiadała, bo to wiadomo z książek, ze źródeł. I między innymi był tam ojciec, został powieszony i spalony. To spalenie, to też mamusia od świadków dowiedziała się. Drewno, warstwa ludzi, drewno, ludzie, polewali benzyną i zapalali. I tych prochów, obok kości oczywiście, bo też zostali zastrzeleni, wielu z tych, którzy tam byli, w tym Forcie III. Tam można było zobaczyć tę ścianę ze śladami kul, naboji. I tam prochy ojca są, w Pomiechówku, w Forcie III. Oczywiście nie tylko jego, tam dziesiątki tysięcy ludzi jest, w tej ziemi. Jak tam się idzie, to tak jak się po grobowcu by szło, w którym są szczątki naszych kochanych.

Dorota Grzechocińska: A czy mama chodziła do...

Elżbieta Orlicka: Tak, po wojnie.

Dorota Grzechocińska: A w czasie wojny?

Elżbieta Orlicka: W czasie, jak mamusia była aresztowana, jeszcze przed moim urodzeniem... Jak ojciec był aresztowany. Jeszcze przed moim urodzeniem. Poszła do Mławy, pojechała, nie wiem, jakkolwiek, przecież w takim stanie to... i próbowała ojca ratować w jakiś sposób. Ale powiedzieli jej, że niech lepiej nie próbuje. Że oni też zastanawiają się nad tym, co z nią zrobić i z rodziną. Bo przecież musiała wiedzieć o tym wszystkim, co się działo. Ale wtedy, kiedy ojciec powiedział, że mamusia nie brała w tym w ogóle udziału, nic o niczym nie wiedziała, co oczywiście było nieprawdą, bo i łączniczką była, miała pseudonim „Pośpieszna”, przewoziła dokumenty i uczestniczyła w pracy tego oddziału, powiedział, że nic mamusia o tym nie wie, że to tylko była jego praca. Pozwolili jej się wyprowadzić z Janowca do rodziny ojca i już tam zostali.

Dorota Grzechocińska: Czy w czasie wojny, czy w czasie, kiedy ojciec był aresztowany, czy mama wiedziała, gdzie przebywa, że przebywa w Janowie, w Pomiechówku?

Elżbieta Orlicka: Tak.

Dorota Grzechocińska: Skąd?

Elżbieta Orlicka: Myślę, że wywiad był, że akowcy śledzili, co się dzieje z ojcem. Tak jak mówię, było organizowane odbicie ojca, chyba dwukrotnie. No nie udało się to. Tam dużą rolę w tej próbie ratowania ojca odegrali państwo Cytowscy, moi rodzice chrzestni zresztą. Oni byli zaprzyjaźnieni z moimi rodzicami i organizowali tę pomoc, ale nie udało się.

Dorota Grzechocińska: A kiedy mama dowiedziała się o śmierci taty?

Elżbieta Orlicka: Przysłali zawiadomienie, że Zacheusz Moszczyński zmarł na krwawą dyzenterię.

Dorota Grzechocińska: Na czerwonkę.

Elżbieta Orlicka: Czerwonkę. Tak.

Dorota Grzechocińska: Takie zaświadczenie jest w dokumentach.

Elżbieta Orlicka: Tak. To znaczy nie dotyczące mojego ojca. Dotyczące mojego ojca?

Dorota Grzechocińska: Tak.

Elżbieta Orlicka: Zobaczą to.

Dorota Grzechocińska: Czyli fałszowali, prawda?

Elżbieta Orlicka: Och, no jakże mogli powiedzieć, że powiesili i spalili. Przecież nawet po wojnie mamusia gdzieś pisała, żeby otrzymać jakieś materiały, cokolwiek o ojcu. To nikt taki w rejestrze nie istnieje. Taką otrzymywała odpowiedź. Zresztą chyba też mam to w dokumentach.

Dorota Grzechocińska: Czy zachował się dokument zawiadamiający o śmierci ojca?

Elżbieta Orlicka: Ja tego nie mam, ale nie sądzę, żeby to przetrwało wojnę. Chciałabym jeszcze dwa słowa, jeśli mogę, już tak niebezpośrednio dotyczące tej martyrologii mojego ojca. Nie wiem, czy to słowo odpowiednie. Chyba za górnotłone. Tej tragedii, lepsze, prawda? Mamusia została z trójką dzieci. Ja się dopiero urodziłam. Skończyła się wojna. I co teraz ma zrobić? Mamusia była bardzo dzielna. Wiedziała. Mam troje dzieci. Ja już nie mogę rozpamiętywać tego, co się stało. Chociaż pojechała do Fortu III, była przy ekshumacji tych wszystkich. I pojechała sama, proszę sobie wyobrazić. Tylko Armia Krajowa, ci żołnierze, cały czas opiekowali się mamusią, okazuje się, w jakimś nie taki narzucający się sposób, ale tę rodzinę mieli pod swoją opieką. I wtedy, kiedy Mamusia pojechała do Pomiechówka, to trzech mężczyzn w otoczeniu mamusi było. Przecież Rosjanie, przecież to tyle niebezpieczeństw tam strasznych było. Prawda? Bo to już przecież było zajęte przez wojska rosyjskie. Tak? Tak myślę.

Dorota Grzechocińska: Czy mama wspominała, jak wyglądała ta ekshumacja?

Elżbieta Orlicka: Tak. Może mniej utkwił w mojej pamięci ten fragment wspomnień. Wiem, że bardzo przeżyła to, że właśnie gdyby nie ci opiekunowie, to by coś się stało tam. Ale mówiła o tym, jak były te zwłoki wydobywane z ziemi, segregowane, myte były i właściwie po fragmentach ubrań, po jakichś łańcuszkach... łańcuszki to chyba Niemcy

to pozrywali przecież w jakimś momencie, nie mogli mieć... Wszystko jedno. Jakieś były informacje dla tych rodzin, że rozpoznawali swoich bliskich. Mamusia postanowiła wrócić do Gdyni. I w tym momencie kolejarz, któremu rodzice bardzo pomagali w czasie wojny, dał mamusi wagon. Proszę sobie wyobrazić, że mamusia wróciła tutaj, do Gdyni, z krową, z koniem i z trójką dzieci. Na pewno jakaś tam jeszcze żywność, mleko, co mogła, żeby zabezpieczyć nas. I wróciła do Gdyni. Ale dom był zajęty przez Niemców, więc już do domu swojego wejść nie mogła. A dostała przydział organizowania przedszkola w Witominie. Tam dostała mieszkanie. I tak się zaczęło życie powojenne. Mamusia pracowała właśnie w Witominie. To przedszkole się rozrastało. Najpierw to było małe jakieś. Pamiętam te paczki, które przychodziły, UNRRA, jakieś banany, których bardzo nie lubiłam.

Dorota Grzechocińska: Gdybyśmy mogły jeszcze wrócić na chwilę do momentu aresztowania ojca, co się działo z dziećmi w tym momencie?

Elżbieta Orlicka: Brat i siostra byli w domu, w tym domu, z którego aresztowali tatę, ojca. To nie było tak, że było pięć pokoi i łazienka, i tam jakieś wygodny. To był dom... prawdopodobnie dwa-trzy pomieszczenia. To się odbywało w tym samym pomieszczeniu, w którym byli rodzice. Więc brat pięcioletni, do dzisiaj wiem, że tkwi to w nim bardzo, bardzo mocno. Miał trudności z wymową, pracował nad tym. Jest w tej chwili dużo lepiej, ale to jest właśnie konsekwencja tego przeżycia, tej strasznej tragedii, tej traumy, którą przeszedł tam w czasie... Ukochany ojciec, którego ludzie tak mogą zbeczczyć, powiem, bo to przecież ojciec dla młodego chłopca to jest świętość. Ojciec był bardzo dobrym ojcem. Siostra też na swój sposób to przeżyła. Myślę, że tak bardzo to w nich tkwi, że oni próbują o tym nie mówić. U mnie to było gromadzenie relacji, ponieważ mamusia bardzo dużo o ojcu mówiła. I to tak stopniowo, jedna warstwa, druga, trzecia, tak we mnie rosło. U rodzeństwa to chyba inaczej przebiegało, była trauma i szli z tym w życie.

Dorota Grzechocińska: To się tak napełniało, napełniało, aż w którymś momencie się wylało. I kiedy pani zaczęła, kiedy pani pierwszy raz pojechała do Fortu? Kiedy pani zaczęła...

Elżbieta Orlicka: Tam nie wolno było jeździć. Tam oczywiście były mury, mury, mury, w cudzysłowie, bramy zamknięte. Przyjeżdżaliśmy kilkakrotnie z mamusią i z bratem i z siostrą, ale wstępu tam nie było. Dopiero mój syn, Maciej, starszy, tutaj ten, z którym mieszkam, odkrył możliwość wejścia na teren Fortu III. Nie wiem, jak to było, sporo lat temu to było. Myślę, z dziesięć lat temu? Bo już to nasze jeżdżenie tam, te nasze odwiedziny to były bardzo, bardzo częste, raz w roku na pewno. I trzeba pisać o zezwolenie na wejście tam. Pierwszy moment, mamusia już nie żyła wówczas, więc z siostrą, z bratem tam... No syn oczywiście, Maciek, który organizował to wszystko. To był ból nieprawdopodobny, patrzenie na te miejsca, po których chodził ojciec, na te bunkry, w których przecież dwa miesiące przebywał, cierpiał. To był straszny ból. A potem już wiedzieliśmy, z czym się zetkniemy, i już z takim pietyzmem do tego podchodziliśmy, z taką chęcią uczczenia tego. W pewnym momencie ja tam zauważyłam krzyż, taki krzywy, taki jakiś z boku, przy jakimś drzewie stojący, więc najpierw sobie wydumałam, że dobrze jest na tym krzyżu... też przywieźć dobry krzyż, taki dobry, solidny, i z tabliczką o Zacheuszu Moszczyńskim, żeby nie był bezimienny. No i postawiliśmy ten krzyż. A później znowu pomyślałam, że dobrze byłoby jakiś symboliczny grób, pomnik postawić, żeby to było trwałe, nie tylko... nie tylko bo krzyż może znowu się pochylić. Oczywiście fizycznie, bo i symbol, i moc krzyża na pewno pomagała w tym wszystkim. No i syn zrobił pomnik. Ja tutaj mam, jeśli państwo będziecie chcieli, to... I tam postawiliśmy

właśnie taki pomnik z napisem o Zacheuszu Moszczyńskim, kiedy umarł, został zamordowany, To, że nikogo nie wydał, że był torturowany, że nigdy nie zapomnimy. I potem, następnym razem, jak przyjechaliśmy, to tych pomników było tam mnóstwo. Chyba z piętnaście wkoło, taki wianuszek tych pomników tam się pojawił. Ludzie sprowadzili chyba z różnych miejsc, cmentarzy, gdzie te pomniki były ulokowane, i sprowadzili właśnie na to miejsce.

Rafał Pękała : A pani był pierwsza, tak? Pomnik?

Elżbieta Orlicka: Tak.

Rafał Pękała: Czy wspominała pani, że wybieraliście się co najmniej raz w roku?

Elżbieta Orlicka: Tak.

Rafał Pękała: Czy to był jakiś szczególny dzień dla państwa, czy raczej przypadkowy?

Elżbieta Orlicka: Nie, to nie było wybieranej daty. Dla mnie właściwie każdy czas jest tym czasem, w którym mogę tam pójść. A rocznice, to moje urodziny, to jest rocznica śmierci ojca. Cały ten czas od 13 lipca do 29 października, to jest towarzyszenie ojcu, każdego roku. Tak to jest.

Dorota Grzechocińska: To można powiedzieć, że całe życie biegnie w braku ojca, ale też i jego szczególnej obecności.

Elżbieta Orlicka: O tak.

Dorota Grzechocińska: Kiedy pani odkryła ten...

Elżbieta Orlicka: Proszę pani, mnie jest bardzo trudno o tym mówić, bo to jest bardzo osobiste. I myślę, że moglibyśmy tutaj wejść w świat mistyki, a chyba nie chcemy tego, bo mamy fakty, straszne, tragiczne fakty. A te moje uczucia, przeżycia i ten mój kontakt z ojcem to jest coś ponad tą rzeczywistością.

Dorota Grzechocińska: Jeśli pan może się z nami podzielić, to bardzo proszę.

Elżbieta Orlicka: Trudne. Trudne, bo tak jak mówię, to jest obecność, to jest nieustanna obecność. Ja wiem, że on jest. Myślę, że to jest trudne do zrozumienia, że to tak może być. Ale tak jest. I ja się bardzo z tego cieszę. I bardzo to podtrzymuję. Bo można od tego uciec. Można powiedzieć, e tam, po co mi to. Tyle ciekawych rzeczy na świecie. A ja chcę w tym trwać i dobrze mi z tym.

Rafał Pękała: Czy podczas pobytu pani taty w Pomiechówku, ale wcześniej jeszcze w Mławie, jakkolwiek korespondencja od niego do domu, do żony, czy cokolwiek przechodziło...

Elżbieta Orlicka: Nie do żony. Żona, powiedział ojciec, że była w ogóle niewłączana w to. Chciał ojciec, żeby Niemcy zapomnieli o żonie i o dzieciach. Żeby była wyłączona z tego. Napisał kartkę chyba z Mławy albo z Ciechanowa, z Ciechanowa chyba, do siostry swojej z prośbą o odzież ciepłą. Bo to przecież było lato, a tutaj myślę,

że to w sierpniu już było, więc te wieczory były zimne, noce. I oczywiście nie udało się niczego dostarczyć. Więc w tym ubraniu, w jakim został aresztowany, przeszedł przez cały ten... i Mławę, i Ciechanów, i potem Pomiechówek.

Dorota Grzechocińska: Czy ta korespondencja się zachowała?

Elżbieta Orlicka: Ja mam kopię tutaj, przy sobie. Mam kopię tego. Myślę, że może brat ma. Szkoda, że wcześniej tego nie wzięłam od niego.

Dorota Grzechocińska: To są bezcenne pamiątki.

Elżbieta Orlicka: To są bezcenne.

Dorota Grzechocińska: Czy jeszcze jakieś pamiątki zostały? Takie materialne po tacie?

Elżbieta Orlicka: No zdjęcia. Z wojska przed wojną, jego zdjęcie jeszcze przed ślubem. Później rodzinne zdjęcie, mamusia, tatuś, brat i siostra. To jeszcze sprzed wojny. Siostra małeńka, na rękach. Nie, chyba pomyliłam dwa zdjęcia. A później z okresu wojennego, bo to już brat stał, później zobaczymy.

Dorota Grzechocińska: Nic nie zostało zwrócone po ojcu z tych rzeczy, które posiadał, kiedy był aresztowany?

Elżbieta Orlicka: O nie. To nie było... Więc tak jak mamusia dostała wyraźną informację, że ma więcej nie pojawiać się, to już nawet pewnie nie próbowała, bo troje dzieci. Więc musiała wybrać. No i chyba słusznie. Taki był, tak jak miał pseudonim, „Twardy”, takim człowiekiem był mój ojciec. Twardy, ale bardzo wymagający od innych, ale od siebie, tak jak tu widzimy z tego, jak się zachowywał w czasie przesłuchań. A z domu rodzinnego to siostra opowiadała, że tato... Jeśli jakieś cukierki na przykład na stole były, to można było je brać tylko w odpowiednim momencie. To nie tak, że dziecko mogło podejść i się poczęstować, kiedy chciało. Więc te zasady były bardzo przestrzegane. To ten cukierek to tak mi utkwiał w pamięci właśnie. Pracowitym człowiekiem był. Przecież prowadził całą tę działalność. Poza tym myślę, że ogarniał wiele spraw, bo potrafił i konspiracją się zajmować, i organizować, i czuwać nad tym wszystkim, i jednocześnie dbał o rodzinę i zaopatrywał rodzinę. I nie tylko rodzinę, bo okoliczną... Nawet też mam list od księdza Gutowskiego, który po wojnie napisał do mamusi, przysłał mamusi słoik miodu i mówi w tym liście, że bardzo dziękuje za opiekę w czasie wojny, że rodzice mu bardzo pomagali. „Zapytywałem nieraz spotkanych znajomych z Gdyni o panią. Mówiono mi dobrze o pani powrocie. Prosiłem pana Wojciechowskiego o adres, żeby napisać do pani z wyrażeniem wdzięczności za życzliwość, jaką okazywali mi państwo, oboje z mężem i po jego wywiezieniu. I pani sama w czasie okupacji. Wtedy o żywność było trudno i ułatwienie nabycia jej było wielką przysługą. Pragnąc choć jakimś drobiazgiem okazać, że pamiętam o tej życzliwości pani, przesyłam kilka kilogramów miodu z prośbą o łaskawe przyjęcie. Ja w roku 1956 zrezygnowałam ze stanowiska proboszcza i mieszkam u rodziny pod Warszawą. W sierpniu rozpocząłem osiemdziesiąty rok życia. Niedołężnym jeszcze nie jestem, ale wiek robi swoje i siły co rok słabną. Bardzo będę wdzięczny pani za napisanie z wiadomością o sobie i dzieciach. Również o siostrze”. Bo mamusi siostra także uczestniczyła w wielu wydarzeniach. „Łączę wyrazy szacunku, pozdrowienia”.

Dorota Grzechocińska: Jeszcze chciałam zapytać, pani Elżbieto, jak pani sobie wyobraża to upamiętnienie dzisiaj tego miejsca? Jak by pani chciała, żeby ono było upamiętnione? Tak żeby to było godne?

Elżbieta Orlicka: Żeby zostawić to, co jest świadectwem tego, przez co przeszli ci ludzie, ci obrońcy ojczyzny, bo to przecież są najwspanialszy obrońcy ojczyzny, walczący o wolną Polskę. Chciałabym, żeby zostały te bunkry. Na pewno trzeba coś zrobić, żeby czas ich nie zniszczył, ale żeby to były prace podtrzymujące jakość tego miejsca, a nie zmieniające to miejsce. To jest niezmiernie ważne. Żeby może jakieś tablice informacyjne, co się w którym bunkrze odbywało, który to bunkier, ten, z którego wyprowadzali na powieszenie. Przecież to są wszystko relikwie, nieprawdopodobne miejsca tragedii ludzi. Zostawić te kołki w ścianach, do których, tak jak w jednej z książek jest świadectwo, że dziewczyna kilkunastoletnia była przywiązana i tak dwa tygodnie, dopóki nie umarła, tak wisała na tych... Proszę pani, to jest niewyobrażalne. I to musi pójść w świat. My musimy to tak zrobić, żeby nigdy więcej. Ten mój wnuk, który ze mną pojechał do Fortu III, wnuczka, która pomaga utrzymać pamięć o pradziadku. Ja syna nie wspominam, bo on bardzo jest zaangażowany w tę pamięć o moim ojcu. A Fort III, no jak najwięcej dowodów pamięci. Żeby wrócił ten cmentarzyk, który tam powstał. Bardzo mi na tym zależy. Dowiedziałam się też, przypuszczano, że pod tym cmentarzem, pod tym terenem jakieś obiekty się znajdują, a tam nic nie było, tylko stare mury, wybudowane jeszcze kiedyś. Więc żeby ten cmentarz w jakiegokolwiek postaci, żeby był. Żeby te pomniki, które ludzie... Przecież rodziny to zrobiły. Z miłości do swoich bliskich. W wielkiej nawale uczuć, które w nich tkwią. I chcieli mieć miejsce, w którym złożą kwiaty, znicz zapalą, pomodlą się, a nie bezimiennie. Nie tak, że był i go nie ma. O to mi chodzi. Żeby koszo-no trawę, żeby nie było po kolana. Idzie się tam i nie wiadomo, na czym za chwilę stanę. Nadać charakteru temu miejscu, takiej wymowy, jaką ono ma, właściwie ma, cały czas ma. I nie tylko dla rodzin, bo teraz głównie rodziny, ale dla pokoleń. Żeby wiadomo było, co gdzie było. Że ci ludzie, którzy tam byli... Książki nie przeczyta nikt. Nikt... Przepraszam, nie wszyscy. Ale żeby wiadomo było, że tu, w tym bunkrze, w tym małym pomieszczeniu, to dziesiątki ludzi były. Że było zimno, że oni nie mogli zmienić pozycji. Że byli torturowani, że byli wielokrotnie tak zmasakrowani. O tym trzeba mówić i trzeba dać informację o tym.

Dorota Grzechocińska: Bardzo byśmy chcieli, żeby każdy napis, który tam jest, żeby udało się odnaleźć, żeby udało się odtworzyć historię tego człowieka, żeby też to nie pozostały tylko napisy. Bo każdy z nich miał swoją historię, miał swoje życie, miał swoje radości, marzenia.

Elżbieta Orlicka: I tak jak Baczyński powiedział: „I każdemu z nich, młodych ludzi, i mnie przecież jak dymu laska wytryskała gołębia młodość”. Każdy z nich tę młodość miał w perspektywie, i to wzrastanie, pozbawieni zostali dzieci, rodziny. Nie mówiąc o wydarzeniach, które mogły być, ślubu córki, przyjęcia do komunii świętej. To wszystko stracił. Nie. Poświęcił ojczyźnie. I to jest jego bohaterstwo.

Dorota Grzechocińska: Pani Elżbieto, bardzo dziękuję, naprawdę.

Elżbieta Orlicka: Ja też, bardzo. I cieszę się, że mieliście państwo możliwość przyjechania tutaj, rozmawiania o tym. I chylę czoła, naprawdę jestem bardzo, bardzo wdzięczna jako córka, że z takim poświęceniem podchodzicie do historii, do tego, co spotkało naszych kochanych.